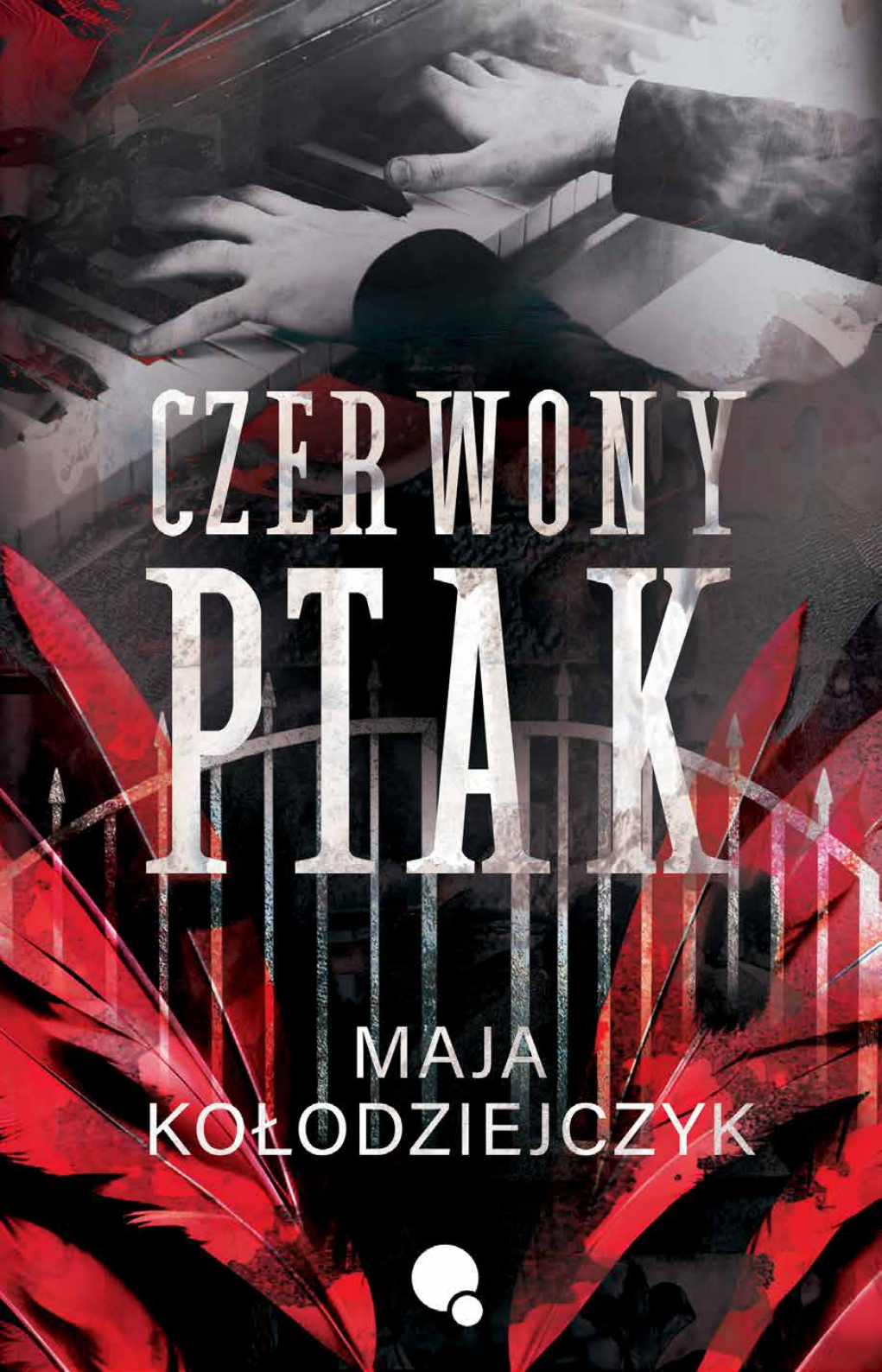




CZERWONY PTAK

MAJA
KOŁODZIEJCZYK



CZERWONY PTAK

MAJA
KOŁODZIEJCZYK

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

www.dlaczemu.pl

Dyrektor wydawniczy: Natalia Wielogórska

Redaktor prowadząca: Edyta Gadał

Redakcja: Dominika Surma

Korekta językowa: Edyta Patrzalek

Projekt okładki: Agnieszka Zawadka

Skład i łamanie: Szymon Bolek

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2023

Wydanie I

ISBN: 978-83-67691-63-5

Zapraszamy księgarnie i biblioteki
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

kontakt@dlaczemu.pl

*Pawłowi i Varii, za nieocenione wsparcie,
oraz wszystkim ludziom bardzo zmęczonym.*

Jeszcze piskłeta

Rzeczywistość nie jest jednakowa dla wszystkich.
Postrzegamy ją tak, jak nas nauczono.
Niezależnie od epoki, w której żyjemy,
Wyjście przed szereg jest gestem wybitnej odwagi.
Szczególnie wtedy, gdy wierzymy, że świat nas potępi.
Kiedy celowo opuszczamy strefę komfortu
I świadomie rezygnujemy z aprobaty otoczenia,
Aby zawalczyć o ideały, które są dla nas ludzkie.
W tej drodze łatwo o pomyłkę,
Zderzenie ze ścianą wątpliwości.
Bo to, co ludzkie, bywa wadliwe,
Ale lepsze świadome poszukiwania,
Niż ślepe dążenie za tłumami.

Był ciepły sierpniowy dzień. Nie z tych gorących, gdzie wszyscy rozpaczliwie wypatrują cienia, pod którym mogliby się ukryć przed palącym słońcem, ale pogodny i zachęcający do spędzania wolnego czasu na świeżym powietrzu. Bogatsi urzędnicy i doccy żołnierze okupowali ogródki kawiarni i restauracji, a biedniejsi mieszkańcy skromnych osiedli rozkładali się na stojących w pobliżu kamienic ławkach. Mieszkanie państwa Karovów było położone pomiędzy przemysłową częścią Ruby, nazywaną przez mieszkańców kamieniołomami, a najbogatszą dzielnicą miasta, pełną luksusowych dworów, zwaną gniazdami. Zajmowali zadbaną kamienicę przy

ulicy Srebrnej 16. Budynek miał pięć pięter i wyróżniał się od innych budowli oknami o łukowatym kształcie i prostokątnymi balkonami z wyjątkowo ozdobnymi barierkami.

O mieszkaniu państwa Karovów można było powiedzieć tyle, że było ładne i przestronne. Podłogę pokrywał zarysowany tylko w dwóch miejscach drewniany parkiet, będący wielką dumą pani domu, Anny Karov. W sporej kuchni znajdowały się białe oszklone szafki, a w trzech sypialniach stały obszerne, dwuosobowe łóżka wykonane z bukowego drewna. Niestety, choć lokal był zadbane, sprawiał wrażenie pustego. Jedynymi meblami w salonie były stolik kawowy i dwa pufy. W trzech sypialniach zostały tylko łóżka, a miejsce dwudrzwiowych, rzeźbionych z drewna szaf, zajęła brzydka komoda kupiona za bezcen. Z kuchni zniknął kredens i masywny, okrągły stół, a zamiast niego pojawiły się niewielki turystyczny stolik i dwa wyjątkowo niewygodne taborety. Fakt, że mieszkanie było tak opustoszałe, sprawiał, że automatycznie wydawało się większe. Znajomi rodziny i sąsiedzi dobrze wiedzieli, że braki w umeblowaniu niosą za sobą pewną historię. Tak naprawdę rysy na ukochanym parkiecie Anny Karov powstały wskutek pośpiesznego przesuwania fortepianu, który dziesięć lat temu wynieśli obcy żołnierze. Instrument nie był jednak największą stratą, bo chwilę przed nim wyprowadzili jej męża – Teodora Karova. Sytuacja miała miejsce jeszcze przed oficjalnym wybuchem wielkiej wojny, a rodzina wciąż nie mogła się pogodzić z utratą pana domu. Anna sprzedała większość drogocennych przedmiotów i od lat jej głównym źródłem dochodu było świadczenie usług krawieckich. Z marnej pensji próbowała utrzymać dwóch chłopców – osiemnastoletniego syna Maksymiliana oraz siedemnastoletniego siostrzeńca Kaila. Maks Karov mierzył dokładnie metr osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu. Był pulchnym chłopakiem o piwnych oczach, piegowatych policzkach i opadających na czoło brązowych włosach. Kuzyn pod żadnym względem go nie przypominał. Kail Karov był o sześć centymetrów niższy, chudy, o dużych

niebieskich oczach i bardzo jasnych włosach, sięgających połowy szyi. W zdominowanym przez okupanta państwie odnaleźli jednak podobne wartości, którymi chcieli się kierować.

Wojna wybuchła pięć lat po aresztowaniu Teodora. Poprzedził ją międzynarodowy kryzys gospodarczy i narastający konflikt na tle rasowym między wschodnimi państwami, takimi jak chociażby Kasseria, a zachodnim mocarstwem, którym stała się Docja. Potężne państwo z wyjącem wilkiem w godle swoją ekspansję rozpoczęło od mniejszych państweczek. Gdy Verda i Makava ustąpiły, zaatakowano ojczyznę Karovów – Kasserię, stawiającą opór. Morze krwi zalało kraj, który wkrótce zniknął z mapy ogarniętego chaosem świata, i chociaż dla wielu przestał istnieć, Kasseryjczycy zamierzali odzyskać odebraną wolność.

– Myślisz, że wyglądam w porządku? – zapytał Maks, nerwowo poprawiając kołnierz bawełnianej koszulki.

Kail otworzył drzwiczki górnej szafki kuchennej i wyciągnął z niej dwie butelki cydru. Obejrzał je pod światło, jakby się upewniając, że nie zabrał przypadkiem lipowego syropu ciotki Anny, który zwykła przelewać do podobnych butelek.

– Co? Nie, no co ty. A czemu pytasz?

Blondyn zgrabnie zeskoczył ze stołka, a następnie zaczął pakować butelki do leżącego na blacie szmacyanego plecaka. Gdy ściągnął sznurki i zapiął jego klapkę, z powrotem przeniósł wzrok na stojącego przy oknie, lekko spiętego Maksa.

– No bo wiesz, dziś na ognisku będzie... – zaczął.

Kąciki ust Kaila lekko się uniosły ku górze. Widok rumianych, piegowatych policzków brata, bo nie zwykł nazywać go kuzynem, był zjawiskiem dość częstym. Szczególnie, gdy rozmawiali o płci przeciwnej.

– Ach, Annuszka, córka aptekarzy. Nie przejmuj się. Myślę, że cię lubi – rzekł, związując najdłuższe pasma włosów w niedbałego kucyka. – Z resztą, już jutro będziesz żołnierzem. Nie wierzę, że tym jej nie zaimponujesz.

Maks dobrze znał Kaila i wyczuł w jego słowach nutę goryczy. Wcielenie do Kasseryjskiego Wojska Podziemnego miało dla nich wielkie znaczenie. Do tej pory zajmowali się takimi czynnościami, jak drukowanie i roznoszenie nielegalnych ulotek lub książek czy wypisywanie na murach antydockich hasła. Od czasu do czasu trafiały się również mniejsze akcje dywersyjne, ale nic na większą skalę. Kail, Maks i ich przyjaciel Simon długo się szykowali do pasowania na żołnierzy. Uczyli się strzelać, a nawet przeszli testy sprawnościowe, jednak finalnie się okazało, że nie wszyscy dostąpią zaszczytu wcielenia do armii. Kail, którego osiemnaste urodziny wypadały dopiero w listopadzie, pozostawał na liście rezerwowej, na wypadek, gdyby kiedyś zabrakło ludzi. Nadal podlegał Departamentowi Kultury, Oświaty i Propagandy, wykonując dla nich mniejsze zlecenia, ale to nie było to samo, co bezpośrednia walka z wrogiem – przenoszenie ważnych informacji, wysadzanie pociągów z dostawami broni, odbijanie więźniów, raportowanie do przełożonych, przenoszących następnie informacje na temat sytuacji w kraju rządowi na uchodźstwie.

– Nie martw się, Kail. To nie jest twoja wina, że się urodziłeś w listopadzie. Miałem sporo szczęścia, będąc lipcowym – rzekł pocieszająco.

– Nie masz wrażenia, że pułkownik „Sowa” po prostu mnie nie lubi? To cztery niecałe miesiące. Rocznikowo mam osiemnaście lat. Mógłby dać spokój – odpowiedział, zarzucając plecak na ramię.

Maks podrapał się w czubek głowy i westchnął ciężko. W zasadzie to odniósł takie samo wrażenie jak brat, ale nie chciał utwierdzać go w takim przekonaniu. Szef Oddziału Operacyjno-Szkoleniowego, pułkownik Santer, zwany przez wszystkich „Sową”, był człowiekiem sumiennym, pracowitym i bardzo surowym. W kasseryjskiej armii cieszył się dobrą reputacją i budził szczególny podziw młodzików, którym imponowały jego zdolności strategiczne. Niestety, faktycznie momentami i Maks wyczuwał jego niechęć do Kaila,

choć jego brat nie dał mu do tego żadnych podstaw. Chłopak po prostu mu nie podpasował.

– Daj spokój. Wszyscy cię lubią. Jak wyszedłem dziś po zakupy, kilka osób zaczęło mnie i pytało, czy zagrasz coś dzisiaj przy ognisku. Nie znam nikogo, kto by nie przepadał za twoją obecnością. A wojsko... Cóż, może lepiej wyjść z założenia, że los tak chciał?

Kail tylko pokręcił głową, a jednak uśmiechnął się pod nosem. W duchu stwierdził, że Maksymilian był doskonałym pocieszycielem. Potrafił sprytnie zmienić temat i skierować rozmowę na odpowiadający mu tor.

– Nie istnieje osoba, którą wszyscy by... – zaczął, ale przerwał im dzwonek do drzwi.

Bracia praktycznie w tym samym momencie spojrzeli na okrągły zegar wiszący nad drzwiami. Była za pięć piąta. Obaj ruszyli ku drzwiom wejściowym. Zatrzymali się w przedpokoju, by zaoszczędzić buty, a Kail poprawił szelki spodni i podwinął rękawy. Gdy Maks się upewnił, że jego brat jest gotowy, pewnym ruchem otworzył drzwi.

– Co się tak guzdrzecie? – Usłyszeli dobrze znany głos.

Na korytarzu stał brunet ubrany w idealnie wyprasowaną grafitową koszulę i spodnie w kant. Miał ostre rysy twarzy i ciemne, wyraziste brwi. Kosmyki zaczesanych do tyłu włosów natrętnie opadały na czoło, nieco burząc zamierzoną koncepcję. Mimo młodego wieku na jego twarzy pojawiał się już obfity zarost, który co rano dokładnie golił. W prawej ręce trzymał swój słynny, skórzaný neser, a przez ramię miał przerzucony pokrowiec na gitarę.

– Simon jak zawsze wystrojony – zaśmiał się Kail. – Bierzesz neser na ognisko? – Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ależ to bardzo ważna rzecz! Mam tam nasz śpiewnik.

– I pewnie piwo – dodał Maks, zamykając za nimi drzwi.

– No, piwo też.

Cała trójka szybko zbiegła po schodach. Rodzeństwo przywitało się z sąsiadkami pijącymi kawę na ławeczce pod blokiem i wszyscy

skręcili w prawo. Przeszli kawałek główną ulicą, aż w końcu dotarli do przystanku tramwajowego, gdzie po ledwie kilku minutach przyjechała wyczekiwana siódemka. Jako że pojazd jechał w kierunku przeciwnym do obleganego w weekendy centrum miasta, nie natrafili w nim na żadnego dockiego żołnierza. Mało tego, znaleźli nawet miejsca siedzące.

Kail usiadł przy oknie, w zamyśleniu wlepiając wzrok w szybę. Stolica Kasserii, Ruba, była pełna skrajności. W wielu miejscach widać było tradycję, bo Kasseryjczycy sami z siebie nie ulegliby zachodniej modzie na nowoczesne style architektoniczne. Zamiast betonu, metalu i szkła woleli klasyczne budynki z czerwonej cegły. W centrum miasta ich ściany malowano na jaśniejszego koloru, takie jak biel czy beż. Podobnie było w ekskluzywnej dzielnicy gniazd, gdzie można było znaleźć nawet trzystuletnie dworki, które za-możne rody dziedziczyły z pokolenia na pokolenie. Wielką dumą Kasseryjczyków było ich godło – ogniowacek. Wierzono, że wielki czerwony ptak o rozłożystych skrzydłach i długim ogonie, gdy dożyje sędziwego wieku, zamiast skonać, odradza się z popiołów. Przyjezdni nazywali go feniksem. W Rubie znajdowało się kilka posągów ogniowaczka – jeden był elementem fontanny na rynku, drugi z podkową w dziobie (według miejscowych legend przynosiła szczęście) strzegł dzielnicy rzemieślniczej, a trzeci, z koroną na głowie, stał na dziedzińcu zamku królewskiego.

Gdy przejeżdżali przez kolejne przecznice, Kail z irytacją wczytywał się w sklepowe szyldy i nazwy ulic, które niegdyś znał na pamięć. Język kasseryjski wypierało nazewnictwo okupanta, w dzielnicy rzemieślniczej wyburzano kolejne zakłady, a ich miejsce zajmowały fabryki dockich maszyn. Pojawiało się coraz więcej surowych, blaszanych konstrukcji, które, chociaż szpecące, były funkcjonalne. Z dzielnicy gniazd wysiedlano kolejne zamożne rodziny, przekształcając dworki w lokale mieszkalne dla przyjezdnych żołnierzy i ich rodzin. W eleganckich hotelach również nie było już miejsc na kasseryjskich gości.

Z rozważań wyrwał go Simon.

– Zapomniałem zapytać, jak twoja praca, Kail. Odnajdujesz się w tym barze?

Chłopak oderwał wzrok od szyby i obejrzał się przez ramię, by spojrzeć na siedzącego za nim bruneta.

– Daję sobie radę. Szef mnie nienawidzi, ale to nic nowego.

– Przyjęli cię, bo dobrze mówisz po docku, nie? Dajesz sobie radę z obsługą takich gości. Domyślam się, że nie jesteś zachwycony, ale twoja ciotka pewnie tak. Wreszcie ktoś pomaga w domu. – Wyszczерzył się zadziornie w stronę kumpla.

– Maks też mówi trochę po docku, ale się krępuje. Dobrze znać język wroga, oni o naszym nie mają pojęcia – odpowiedział Kail.

– Mama jest trochę zła, że nie mogę niczego znaleźć. Ja naprawdę chcę, ale nie jest łatwo – tłumaczył się Maksymilian.

– Jak skończy się wojna, chciałbym być muzykiem. Może nie będzie za późno, by pójść do akademii. Poza tym ludzie chętnie mnie słuchają. To znaczy, chętnie słuchają nas. – Simon zastukał palcami w pokrowiec od gitary.

– Wolałbym zamiast strun mieć klawisze, ale nie wybrzydzam – odparł młodszy Karov.

– Fortepianu i tak nie zabrałbyś na ognisko – stwierdził Simon. – Hej, teraz wysiadamy.

Chwycił swój neseser i jako pierwszy ruszył w stronę drzwi. Bracia w ślad za nim zrobili to samo. Byli tak zaabsorbowani rozmową, że omal nie przegapili przystanku. Ominęli nawet moment, kiedy wyjechali z dzielnicy rzemieślniczej, przedostając się na obrzeża Ruby, a przecież dobrze znali te tereny. Obok budynku, w którym przed wojną mieścił się wydział rolniczy Uniwersytetu Kasseryjskiego, znajdowały się pojedyncze domy mieszkalne. Stąd było blisko nad jezioro oraz do lasu, w którym po kryjomu się uczyli strzelać. Tym razem mieli jednak inny cel. Na leśnej polanie wraz z grupą znajomych zorganizowali małe przyjęcie na cześć osób mających jutro oficjalnie złożyć śluby.

Simon, któremu humor dopisywał, wyłonił się na przód, założył ręce na głowę i pogwizdując pod nosem, ruszył wprost przed siebie. Chłopcy się kierowali polną, wydeptaną ścieżką. Minęli porośniętą wysoką trawą łąkę i poszli w głąb gęstego, ciemnego lasu. Chociaż innym to miejsce mogłoby się wydawać mroczne i ponure, trójce Kasseryjczyków dawało poczucie bezpieczeństwa. Tutaj się nie zapuszczały wojska okupanta. Przez dłuższą chwilę szli slalomem, wymijając dumne, wysokie sosny, aż w końcu zboczyli na wąziutką leśną dróżkę prowadzącą na ich ulubioną polanę. Kail się uśmiechnął pod nosem, słysząc głosy dobiegające z miejsca, gdzie mieli rozpalić ognisko. Ułożył dłonie w charakterystyczny sposób i zbliżył je do ust.

– Hu huuu! – Jego zawołanie głośnym echem odbiło się od drzew, a ci, którzy go nie znali, naprawdę uwierzyliby, że to prawdziwa sowa.

Nie czekali długo, aż odpowiedziało im kukanie równie fałszywej kukułki. Maksymilian od razu rozpoznał śpiewny głos córki aptekarzy.

– Coś czuję, że będziemy ostatni, ale cóż. Modnie jest się spóźnić! – stwierdził Simon, przyspieszając kroku.

Nie minęły dwie minuty, a cała trójka weszła na polankę, gdzie wylewnie powitała ich reszta kasseryjskiej młodzieży. Nad jeszcze niewielkim ogniskiem pochylało się dwóch bliźniaków, klóćąc się o to, czy należy podłożyć więcej pokrytych żywicą gałązek, czy też to właściwy moment, aby do ognia wrzucić suchy chrust. Byli to Nataniel i Nikodem Kozowie, wiecznie skłócenii, a przy tym nierozłączni bracia. Obaj wysocy, o dużych, niebieskich oczach, krótko przyszczyżonych włosach i identycznych orlich nosach. Znajomi mogli odróżnić ich jedynie po małej bliźnie. Od zawsze byli psotnikami, a w wieku sześciu lat Nikodem rozciął sobie łuk brwiowy podczas ich zacieklej walki na patyki.

– Hej, chłopaki! – zawołali równocześnie, spoglądając na Karów i Simona. – Zgracie coś dzisiaj?

– No, pewnie! – rzekł Simon.

Postawił swój nesesor na prowizorycznym, wykonanym ze starej skrzynki stoliku, a następnie wyciągnął gitarę z pokrowca, co chwila spoglądając na siedzące na przewróconym pniu trzy dziewczyny. Wśród nich była Annuszka. Córka aptekarza cieszyła się dużym powodzeniem u płci przeciwnej. Była osobą pogodną, otwartą, a przy tym bardzo ładną. Czekoladowe, falowane włosy związała w dwa bardzo grube warkocze zakończone błękitnymi wstążkami. Miała na sobie rozkloszowaną sukienkę z krótkimi rękawami i szerokim pasem podkreślającym talię. Kail nasłuchiwał się już dużo na temat jej urody. Brat, który przy dziewczynie się wstydził odezwać, przyjaciółom opowiadał o niej na okrągło, gdy tylko znikala mu z oczu. Młodszy Karov żartował nawet, że mógłby wydać tomik poezji dotyczący wyłącznie jej „okolonych gęstymi rzęsami czekoladowych oczu” oraz „lśniących w słońcu włosów”. Raz przyłapał go nawet z Simonem na pisaniu wierszy, ale finalnie skończyły w kominku.

– Maksymilianie, mój drogi przyjacielu, czy zechcesz się napić lśniącego w słońcu trunku? – zagaił Simon, wymachując mu piwem przed oczami i z rozbawieniem się wpatrując w czerwoną twarz starszego Karova.

– Dzięki za ofertę, ale odmówię. Wolę się napić cydru z jabłek... jabłek... – na chwilę się zaciął, wlepiając wzrok w ziemię. – Jabłek stłuczonych na kwaśne jabłka, których personifikacją nie chciałby być ktoś, kto niepotrzebnie kłapie dziobem.

Kail parsknął śmiechem, podobnie jak bliźniacy, którym wreszcie się udało rozpalić ognisko. Chłopcy wyciągnęli z kieszeni ulubione scyzoryki i zaczęli ostrzyć czubki gałęzi, na których zamierzali upiec kromki chleba. W tym czasie Kail postawił na ziemi swój szmaciany plecak, wyciągając butelkę cydru.

– Coś te tajne nauczanie bardzo weszło wam w krew, poeci – zwrócił się w kierunku Simona i Maksa.

– W krew mają wejść nam dzisiaj trzy rzeczy – rzekł głośno Simon, w odróżnieniu od Maksa pilnując, aby wszyscy go słyszeli. – Alkohol, muzyka i duma na myśl o jutrze.

Siedzące obok Annuszki dziewczęta zachichotały. Simon był przystojny, przebojowy i sprawiał wrażenie starszego. Gdziekolwiek się pojawiał, przykuwał dużą uwagę otoczenia i, w przeciwieństwie do nieśmiałego Maksa, nie miał najmniejszego problemu w kontaktach z dziewczynami. Po jego słowach rozległy się gromkie okrzyki radości, a gdy trochę ucichły, Annuszka pewnie wstała z miejsca, otrzepała sukienkę i podeszła w stronę nowo przybyłej trójki. Kail poczuł nerwowo ścisk w żołądku. Zawsze się obawiał, że córka aptekarzy kiedyś zainteresuje się Simonem. To byłby najgorszy z możliwych scenariuszy. Mógłby pogorszyć nie tylko ich relacje, ale również odebrać jego bratu pewność siebie.

– Napijesz się cydru? – zaproponował Maks, gdy tylko usiadła obok nich na pniu sąsiedniego przewróconego drzewa.

– Chętnie. – Uśmiechnęła się ciepło.

Maks wyciągnął z kailowego plecaka trzy metalowe kubki. Nie mógł przecież pozwolić, aby dziewczyna piła z gwinta.

– Jak się czujesz, Kail? – zapytała, przeczuwając, że pod maską jego uśmiechu kryło się przygnębienie.

– Wiesz, tak postanowił „Sowa” i tak będzie. Wojsko jakoś musi dać sobie radę beze mnie – odparł wymijająco.

– Wierzę, że nic się nie dzieje bez przyczyny. Wielu ludzi zapomina, że jestem nie tylko córką aptekarzy, ale również wnuczką wieszczki. To dwie skrajności.

Mówiono, że babka Annuszki, Mira, widzi więcej. Znała wiele tradycji ludowych, o których niektórzy mieszkańcy miasta już dawno zapomnieli. Ludzie chętnie kupowali u niej zioła lub różne smarowidła, a bardziej przesądni przychodzili również po poradę. Chociaż po latach głupio im się było do tego przyznać, Maks i Kail w dzieciństwie bali się Miry. Zgarbiona kobieta z bielmem na prawym oku wyglądała naprawdę przerażająco. Mira miała osiemdziesiąt pięć lat. O piętnaście lat przeżyła swojego męża, a po jego śmierci zamieszkała w domu córki. W ten oto sposób życie znachorki i aptekarzy toczyło się w pod jednym dachem. Ojciec

Annuszki, niegdyś marzący o karierze chirurga, nie był zadowolony z działalności teściowej, ale w żaden sposób nie udało mu się przekonać jej do zaprzestania praktyk.

– Sam nie wiem. Po prostu nie cieszę się sympatią starszyny. Nie wierzę, aby różnicę robiło tu kilka miesięcy. – Wzruszył ramionami Kail.

– Wojsko wiele straci. Może nie jesteś pierwszy do bitki, ale masz swój honor i łeb jak sklep – rzekł Maks, trącając go łokciem.

– Przestańcie mnie pocieszać, bo jestem tym zakłopotany. Cieszę się z waszego szczęścia, mamy co świętować i tyle – rzekł, upijając kolejny łyk cydru.

– Pomyślałam, że na pocieszenie ułożę ci karty – zaproponowała Annuszka.

Przysłuchując się ich rozmowie, Simon skrzyżował ręce na ramionach. Nie spodobał mu się pomysł wróżenia. Zmarszczył brwi, patrząc na nich oceniająco.

– To jakieś zabobony. A piosenka? Mieliśmy zacząć od śpiewania, aby rozruszać naszą ekipę. – Spojrzał z wyrzutem na Kaila.

– Weź, poczekaj. To cię nie zbawi – powiedział Maks, na co brunet wyrzucił oczami i zaczął zagadywać koleżanki siedzące po drugiej stronie ogniska.

Annuszka niespecjalnie się przejęła jego zachowaniem. Sięgnęła do czarnej, przewieszonej przez ramię torebki i wyjęła z niej wyraźnie zużytą już talię kart i szmacianą, dużą saszetkę.

– Powinniśmy zacząć od wybrania karty, która cię reprezentuje, ale i tu panują reguły. Jeżeli wróży się mężczyźnie, wybierany jest król, jeśli kobiecie: dama. Walet oznacza bardzo młodą osobę, najczęściej dziecko – wyjaśniła, tasując talię.

– A jak to jest w przypadku wróżb na pocieszenie? – zaśmiał się Kail, traktujący rozkładanie kart jako zabawę i miły gest ze strony koleżanki.

– Nie ma czegoś takiego jak wróżby na pocieszenie. Przestań. Uwierz, że to jest po prostu dobry moment, aby ułożyć ci karty – powiedziała,

odrzucając warkocz za ramię. – Kiery określają osoby o brązowym, siwym i mysim odcieniu włosów oraz niebieskich, szarych lub zielonych oczach. Na przykład kierami byliby bliźniacy. Osoby o ciemnych włosach i oczach powinny wybrać piki. Taką kartę zaleciłabym Simonowi. Ja i Maks to typowe trefle, czyli osoby o brązowych włosach i piwnych oczach. Trefle to również rudzielce. W przypadku blondynów o jasnoniebieskich lub szarych oczach jako kartę reprezentującą wybieramy karo – tłumaczyła.

– W przypadku Kaila wybór jest więc prosty – przyznał Maks.

Annuszka kiwnęła głową, a na materiałowej torbie położyła króla karo.

– Muszę ci powiedzieć, mój drogi, że ta karta symbolizuje wpływowego mężczyznę w mundurze. – Uśmiechnęła się szeroko, na co Maks klasnął w dłonie. – Król karo jest człowiekiem wysoko postawionym, cieszącym się dużym szacunkiem otoczenia, a przy tym jest również zamożny.

Kail z niedowierzaniem pokręcił głową. Wziął duży łyk cydru i chociaż nie był przekonany co do wróżby Annuszki, nie śmiał jej przerywać. Dziewczyna rozsypała resztę kart na torebce, aby nie ubrudzić ich piaskiem. Następnie poprosiła Kaila o wymieszanie ich, a po wszystkim zebrała, by rozłożyć je w trzech rzędach. W każdej kupce znajdowało się po osiem kart.

– Pierwsza reprezentuje przeszłość, druga teraźniejszość, a trzecia przyszłość – wyjaśniła, po kolei odkrywając karty. – Co my tu mamy... Twoją przeszłość odzwierciedla dziesiątka trefl. Ta karta symbolizuje wielką kłótnię rodzinną. Duże nerwy, apatię, intrygi, pomówienia, chorobę. Spokój zachwiany przez nieprzewidzianą sytuację.

– Jak zabranie mojego taty, a twojego wuja, przez wojska dockie. To by pasowało – zauważył Maks.

Kail kiwnął głową. Nie przyznał, że w pierwszej kolejności pomyślał o śmierci matki, której nie zdążył poznać. Drugą odsłoniętą przez Annuszkę kartą był as trefl.

– Symbolizuje nagle, niespodziewane wydarzenie, coś, co może przysporzyć wiele łez. Drastyczna zmiana. Nieporozumienie, zaskoczenie, niebezpieczeństwo.

– „Sowa” nie przyjął cię do wojska. Nie spodziewaliśmy się takiej decyzji – zauważył Maks.

– Ta, z pewnością. Jak powiesz pułkownikowi, że wróżyśmy z kart, to i ciebie wyrzuci za zabobony – zaśmiał się Simon, ale Annuszka zignorowała jego słowa i odwróciła kolejną kartę.

– To odwrócony as kier. Symbolizuje obcy lub nieprzyjazny dom albo wpływ obcego domu na nasz własny. To symbol zachwiania dotychczasowej równowagi. Miejsce, w którym się wkrótce znajdziesz, odegra kluczową rolę w twoim życiu.

Po ostatniej wróżbie Annuszka wyglądała na trochę zakłopotaną. To, co odczytała Kailowi z kart, nie było tak optymistyczne, jak początkowo zakładała. Przez jej głowę przeszła myśl, że wrózenie chłopakowi nie było jednak tak dobrym pomysłem.

– Dzięki – rzekł młodszy Karov, który nie wyglądał na specjalnie przejętego. – Już wyobrażam sobie siebie jako tego wysoko postawionego mężczyznę w mundurze.

– Te ostatnie można różnie interpretować – tłumaczyła.

– Spokojnie, to tylko zabawa.

– Zabawa to się dopiero zacznie – wtrącił Simon.

Poczekał, aż Annuszka zbierze swoje karty, a następnie wręczył Kailowi gitarę. Nastął czas na jego ulubioną część wieczoru.

– Jak mniemam, chcesz zacząć od treści jutrzejszej przysięgi. – Bardziej stwierdził niż zapytał, kładąc ręce na strunach.

Gdy Simon przytaknął skinieniem głowy, wszyscy zrozumieli, że wypada wstać. Ta piosenka była dla nich jak hymn podziemia. Odłożono torby i napoje, stając w okręgu wokół ogniska. Słońce się chyliło ku zachodowi, a twarze Kasseryjczyków oświeślały jego szkarłatne promienie. Kail spowaźniał i zaczął grać dobrze znaną melodię. Jego zdaniem gitara nie byłaby tutaj najlepszym instrumentem, ale w zaistniałych warunkach nie mógł pozwolić sobie

na nic innego. Wymienili z Simonem krótkie spojrzenie, po czym starszy chłopak zaczął śpiewać:

*Czy w blasku księżycy, czy rankiem o brzasku,
Czy w bólu, czy w szczęściu,
Czy w świetle, czy w mroku,
Kroczyć tak będziemy ze sztandarem u boku.
Czy w potopie krwi świeżej, czy w cieniach płomieni,
Przysięgamy bronić mowy oraz ziemi.
Gdy czerwony ptak padnie, niech każdy pamięta,
w prochach jego będą czerwone pisklęta
i wzlatywać zechcą od góry do dołu,
a naród odżyje jak feniks z popiołu.*

Pan Vogel

Nie sztuką jest kopiować cudzą pogardę
i udawać, że jest naszym własnym wytworem.

Maks uchylił powieki. Miał wrażenie, że cały świat wirował mu przed oczami. W głowie miał przebliski z zeszłego wieczoru. Śpiew Simona, tańczące dziewczyny, zapach lasu i puste butelki po cydrze, którego wspomnienie wywoływało u niego mdłości.

– Wypij to. – Usłyszał dobrze znany głos.

Kail postawił przy jego łóżku szklankę z nieprzyjaźnie wyglądającym, miodowym płynem. Starszy z braci skrzywił się wyraźnie i podniósł do siadu, zsuwając z siebie kołdrę.

– Co to jest?

– Sok z cytryny z miodem i imbirem. Jest dobry na kaca.

– Pomijając sińce pod oczami, wyglądasz całkiem nieźle. Głowa cię nie boli? – zapytał Maks, niepewnie upijając łyk ciepłego napoju.

– Nie, bo już wypilem. Masz godzinę, by się doprowadzić do porządku. W kuchni czeka na ciebie gorąca jajecznicza, a potem...

– ...zimny prysznic – dokończył za niego niski, kobiecy głos.

W tym momencie Maksymilian uświadomił sobie, że oprócz brata w jego pokoju był ktoś jeszcze. W wejściu stała Anna Karov, krzyżując dłonie na piersiach. Była chudą kobietą o łabędziej szyi i łagodnych rysach twarzy. Jej wąskie, wiecznie podejrzliwe oczy

zdawały się przeszywać na wylot syna, który w jednej chwili oprzytomniał. Kiwnął głową i duszkiem wypił napar na kaca, byleby tylko nie prowokować mamy, której ostatnio nie dopisywał dobry nastrój.

– O której wróciście? – zapytała, mierząc ich dalekim od zadowolenia spojrzeniem.

– O północy – bąknął Maks.

– Nie pamiętam – rzekł Kail, na co piwne oczy Anny zrobiły się jeszcze węże.

– No, oczywiście! – powiedziała pewnie, wchodząc do sypialni i wykonując taki gest rękoma, jakby chciała strzepnąć z fartuszka niewidzialny kurz. – Założę się, że jak zapytam sąsiadki z trzeciego piętra, z radością wam przypomni.

– Świątowaliśmy. Dziś wielki dzień Maksa.

– Tyle razy wam powtarzam, żebyście byli ostrożniejsi. To nie są czasy, w których należy się włóczyć po nocach. Koniec dyskusji, a teraz obaj marsz do kuchni.

Anna Karov nie należała do potulnych matek, które w razie przykrości poklepią dziecko po plecach i będą je wybielać w każdej sytuacji. Wprost przeciwnie, była twarda i oschła, wierząca, że wprowadzając dyscyplinę, skutecznie ochroni Maksa i Kaila od kłopotów.

Kobieta jako pierwsza weszła do kuchni, a następnie postawiła czajnik na palniku kaflowego pieca.

– Kail, nakryj – poprosiła, skrycie chcąc oszczędzić Maksa, który ewidentnie gorzej znosił nadmiar alkoholu.

Młodszy Karov wyciągnął z kredensu biały obrus w haftowane słoneczniki, a następnie nakrył nimi ich rozkładany stolik. Ciotka nie wyobrażała sobie posiłku bez obrusa, a w obecnej sytuacji i tak wybaczyła chłopakowi, że uprzednio go nie uprasował. Chwilę później na stole pojawiły się trzy talerze, trzy szklanki z metalowymi, ozdobnymi uchwytami oraz sztucce. Maks nasypał każdemu po dwie łyżeczki kawy, a gdy woda w czajniku wreszcie się zagotowała, Anna zalała je wrzątkiem.

– Uprasowałam ci świeżą koszulę. Wisi na wieszaku w przedpokoju – rzekła oschle, nakładając wszystkim kolejno mocno ściętą jajecznicę.

– Dzięki – odparł Maks, w pośpiechu chwytając za widelec. Na kacu miał zawsze wilczy apetyt, a teraz czuł, że jajecznica jest tym, czego potrzebował.

Chłopcy jedli w milczeniu, skupiając się na wywodzie Anny, dotyczącym dobrych manier. Po śniadaniu Maks poszedł wziąć prysznic, a Kail, który tego dnia obudził się wcześniej, pomógł ciotce pozmywać.

– Nie przejmuj się, dziecko, bo to nie jest twoja wina – powiedziała niespodziewanie Anna, odgarniając za ucho kosmyk jasnych włosów.

Kail westchnął. Fakt, że nawet ciotka Anna się nad nim litowała, sprawił, że poczuł się wyjątkowo niekomfortowo. Nie chciał pocieszenia. Ono naprawdę nie było mu teraz potrzebne.

– Przecież nic się nie dzieje... – Chwycił od niej kolejny talerz, wycierając go suchą ściereczką.

– ...bez przyczyny – dokończyła za niego.

– Mówisz trochę jak Annuszka. – Uśmiechnął się blade.

– Wnuczka znachorki?

Zmarszczył brwi, w duchu stwierdzając, że po raz pierwszy ktoś nie nazwał jej po prostu „córką aptekarzy”. Nim jednak zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do kuchni wszedł wykąpany, ubrany i uczesany Maks. Miał na sobie ciemną marynarkę, czarne spodnie na szelkach i skórzane, trochę za duże buty po ojcu.

– No, no! – zacmokał Kail, lustrując go od stóp do głów. – Wyglądasz o wiele lepiej.

– I tak się też czuję. Zimny prysznic naprawdę dobrze mi zrobił.

Anna nieznacznie kiwnęła głową na znak, że się zgadza z siostrzeńcem, po czym odprowadziła ich do drzwi.

– Obiad będzie na szesnastą, kluski z sosem grzybowym – oznajmiła na pozór beznamiętnie, choć świadomie zamierzała przyrzędzić jedno z ulubionych dań syna.

Na twarzy Maksa zagościł delikatny uśmiech. Wymruczał krótkie podziękowania i zamknął za sobą drzwi. Po jakichś dwudziestu minutach Karovowie byli już na dole i ruszyli w stronę przeciwną do przystanku tramwajowego, z którego wczoraj pojechali na skraj lasu. Kail podwinął rękawy swojej marynarki i pogwizdywał cichutko, trzymając ręce w kieszeni. Maks nie był w tak dobrym nastroju. Gdy dokuczliwy ból głowy w końcu minął, zaczął udzielać mu się stres. Zaciskał ręce w pięści, czując, że pocą mu się coraz bardziej. Nawet niebo nie było już tak pogodne jak wczoraj. Przysłoniły je ciemne, nieprzyjemne chmury, tworzące groźną aurę.

– Mam jakieś złe przeczucie – powiedział, wsuwając dwa palce za kołnierzyk, jakby próbował go w ten sposób poluzować.

– Dlaczego ty się martwisz na zapas, Maks?

– Bo nie jestem taki jak ty. Czasem bardzo zazdroszczę ci tego, że tak łatwo potrafisz zdusić w sobie emocje. Zawsze zachowujesz zimną krew. Ja tak nie mam. Właściwie to już zaczynam zapominać przysięgę.

Kail przez chwilę szukał słów wsparcia, ale doszedł do wniosku, że Maks sam musi poradzić sobie ze stresem. Nie wiedział też, czy „zduszenie emocji” było taką zaletą, jak opisywał to brat. Gdy się zatrzymali na przystanku, jego uwagę zwrócili dwaj doccy żołnierze, wychodzący z przeciwległej, bardzo drogiej czekoladziarni Pana Brausa. Nieśli ze sobą dwie wypełnione po brzegi papierowe torby.

– Gdy znajdę pracę i odłożę pieniądze, kupię jej tutaj bombonierkę – stwierdził niespodziewanie Maks, który najwyraźniej myślał o czymś zupełnie innym niż wojsko okupanta.

– Komu? – zapytał wyrwany z rozważań Kail.

– No, Annuszcze! To byłoby fajne, dać jej coś takiego niedostępnego. W sensie to romantyczne.

– Za te pieniądze sam zrobisz jej dziesięć bombonierek.

Maksymilian spojrzał na niego z wyrzutem. W porę ugryzł się w język, by nie powiedzieć, że podobnych uwag prędkiej oczekiwałby po matce. Ostatecznie machnął jednak ręką. Stali chwilę pod

drewnianym daszkiem, w zniecierpliwieniu wypatrując w stronę, z której powinien przyjechać wyczekiwany tramwaj.

– Wiesz co? Nigdy nie było w tobie romantyzmu. Jesteś lodowaty jak słup soli – rzekł po kilku minutach milczenia Maks, stwierdzając, że jednak powinien poinformować Kaila o swojej obserwacji. – Już nie chciałem nic mówić, ale jak przypominam sobie, jak potrafiłeś spławić dziewczynę... No, na przykład Adę. Zaprosiła cię na kawę, a ty bez żadnych wyjaśnień, powiedziałeś „nie” i...

– Przestań rozpamiętywać jakieś sytuacje sprzed dwóch lat, których już nawet nie pamiętam. Poza tym osobiście uważam, że słup soli jest po prostu słony – wytknął mu przejęzyczenie.

– Ty też jesteś słony, Kail.

Bracia popatrzyli po sobie, po czym Maks szturchnął go łokciem. Obaj zaczęli się śmiać jak młodzi, psotni chłopcy i ledwie zdążyli spoważnieć, gdy przyjechał ich transport. Wsiadli do pojazdu, tym razem tłocząc się na tyłach. Przednia część tramwaju, przeznaczona tylko dla Doków, była zdecydowanie bardziej zatłoczona niż poprzedniego dnia. Zajmowali ją nie tylko doccy żołnierze, ale również ich żony i dzieci. W pewnym momencie trzymający się sztywnego uchwytu Kail wymienił spojrzenie ze stojącym za złotą barierką chłopcem wyglądającym na jakieś dwanaście lat.

– Udawaj, że go nie widzisz i nie kuś losu. Inaczej przesyje cię na wylot tymi „czystymi” – ten wyraz Maks wypowiedział wyjątkowo sarkastycznie – niebieskimi oczami.

– Sam mam niebieskie oczy i to tylko dzieciak.

– Ta, ale twoje nie zamieniają w kamień.

– Ale w słup lodowatej soli owszem.

– A ty wciąż nie masz dosyć? – parsknął Maks, ogarniając jasny kosmyk z czoła brata.

– Nie mówmy już o mnie, ale o tobie. – Uśmiechnął się Kail, dokładnie lustrując wzrokiem jego trzęsące się ręce.

– Nie zachowuj się tak, jakby ten dzień miał uczynić ze mnie kogoś więcej. Dlaczego mamy nie mówić o tobie? Nie awansuję

przecież na jakiegoś ważniaka – szepnął, oglądając się za ramię i upewniając, że inni pasażerowie go nie słyszeli. Chociaż nie mówił na głos, o jaki awans miało chodzić, wołał dmuchać na zimne.

Kail w rzeczywistości był bardzo dumny ze swojego brata. Maks był bliski osiągnięcia tego, na czym obu bardzo zależało. Nie chodziło tylko o samą chęć zemsty za to, co spotkało ich wuja i ojca, ale walkę o własne prawa i tożsamość. Żyli w świecie pełnym ściśle określonych reguł, a dopasowanie się do tych zasad bywało naprawdę trudne. Musieli udawać, że postępują zgodnie z wytycznymi okupanta, a tak naprawdę stanowili ruch oporu, od którego również oczekiwano określonego zachowania. Uczono ich, by pozostawali wierni tradycjom, by byli odważni, by pielęgowali ojczystą kulturę, by w razie konieczności potrafili się bronić, by założyli w przyszłości rodziny wyznające identyczne wartości. W tych trudnych czasach udawanie normalności skutecznie weszło im w krew. Nikt nie zaakceptował faktu, że dla innych państw Kasseria już nie istniała na mapie.

Maksymilian pragnął wolnej, patriotycznej, pełnej miłości rodziny, Simon potrafił godzinami opowiadać o sławie, pieniądzach i przyszłej karierze muzycznej, a Kail miał wrażenie, że zaczyna się gubić we własnych celach. Czasami śniło mu się, że polykał „ziarno niepewności”. Osiadło ono w jego płucach, gdzie wypuszczało korzenie, rozrastało się, kwitło, a pod koniec rozrywało jego wnętrza, przebijając się przez żebra, wypuszczało łodygę przez otwartą gardziel. Budził się zlany potem z przekonaniem, że jeszcze kilka sekund temu odczuwał prawdziwy, fizyczny ból. Teoretycznie Maksymilian i Simon nie zrobili niczego, przez co mógłby się poczuć gorszy. Miał jednak wrażenie, że nigdzie nie pasował. Odkąd żołnierze wyprowadzili Teodora, nikt nie spojrzał na niego z podziwem. Z wujem łączyła go szczególna więź. To on nauczył go miłości do muzyki i tylko jemu pozwalał dotykać swojego fortepianu. Był poważanym absolwentem akademii muzycznej, człowiekiem utalentowanym, pracowitym, a przy tym największą inspiracją

Kaila. Młodszy Karov czuł, że wraz ze zniknięciem wuja, stracił część własnej tożsamości.

– Kail, dobrze się czujesz? W zasadzie to od rana wyglądasz jak coś błado – powiedział Maksymilian, marszcząc brwi.

– Znów miałem jeden z tych głupkowatych snów. Wydawało mi się, że jestem rośliną. Czymś na wpół żywym. Wiem, to brzmi idiotycznie...

– To tylko sen. Mnie się śnił ojciec. Stał na balkonie i płakał, a gdy próbowałem go zapytać, co się stało, to milczał. Wiesz, nasza sytuacja nie jest łatwa. Oberwaliśmy psychicznie. Organizm jakoś odreagowuje. Tak uważam.

– Masz rację – rzekł Kail, znów spoglądając za okno. – Minęliśmy centrum, zaraz nasz przystanek.

Gdy wyszli z tramwaju, dostrzegli, że niebo było już całkiem sine. Przyspieszyli kroku, minęli bramę do parku centralnego i skręcili w boczną uliczkę. Ich celem był opuszczony hangar, w którym niegdyś mieściła się fabryka. W Kasserii panował zakaz tworzenia ugrupowań, a wszelkie kluby musiały być rejestrowane w ratuszu, oczywiście kontrolowanym przez okupantów. Znalezienie odpowiedniego miejsca na uroczystość pasowania żołnierzy było nie lada wyzwaniem. W hangarze pracował niegdyś ojciec Nataniela i Nikodema – Amadeusz Koz. Choć od wielu lat budynek stał zabity dechami, a większość znajdujących się tam niegdyś maszyn wyniesiono, hangarowi nie groziło zawalenie. Amadeusz, sprawnie działający w ruchu oporu, sam zaproponował dowódcy to miejsce. W piwnicy pod olbrzymią halą mogli komfortowo rozmawiać, mając niemalże stuprocentową pewność, że nikt ich nie usłyszy. Bracia obeszli ogrodzenie. Chociaż w tym rejonie miasta nie kręciło się zbyt wielu Doków, zostali poinstruowani, by na wszelki wypadek nie wchodzić bramą od strony ulicy, ale tylnym wejściem. Maks pewnie popchnął drzwiczki starej, zardzewiałej furtki. Skrzywił się, gdy zaskrzypiała głośno, i spojrzał za siebie, by mieć pewność, że nikt ich nie obserwuje.

– Patrzyłem. Jest czysto – zapewnił Kail.

Weszli na zaniedbane podwórze, pełne zeschłej trawy i porzucanych metalowych części. Widok ten nie był zbyt optymistyczny. Oczywiście, że marzyli o uroczystości w wielkiej auli albo eleganckiej restauracji. Chcieli strojnych mundurów, kwiatów, oprawy muzycznej i zachwyconych tłumów, ale realia Kasseryjczyków były brutalne. Kail podszedł do dużych, metalowych drzwi, które w przeciwieństwie do okien nie były zabite deskami. Porozumiewawczo spojrzął na Maksa i niepewnie nacisnął klamkę. W środku zastali dwóch uzbrojonych żołnierzy, w wieku około czterdziestu lat. Jednego Kail znał tylko z widzenia, w drugim rozpoznał ojca bliźniaków. Najwyraźniej zostali oddelegowani do stania na czatach.

– Dzień dobry – powiedział, ale gdy dostrzegł, że Maks uniósł dłoń do skroni, zrobiło mu się głupio.

Maks zasalutował żołnierzom, którzy odpowiedzieli tym samym, po czym wskazali im wejście do pomieszczenia obok. Stała w nim grupka chłopaków, w tym Nataniel, Nikodem, Simon oraz Annuszka trzymająca w dłoniach koszyk świeżych kwiatów. Kiwnęła głową na widok Karovów, ale z żadnym z nich nie przywitała się wylewnie. Znajomi wymieniali jedynie pełne ekscytacji spojrzenia. W końcu dziewczyna podeszła kolejno do przyszłych żołnierzy, wkładając im czerwone kwiatki do kieszeni koszuli. W kieszonce jej prostej, granatowej sukienki również znajdowała się podobna ozdoba. Moment, w którym podeszła do Kaila, był trochę niezręczny.

– Nie przejmuj się – powiedział cicho.

Annuszka spojrzała do koszyka i wyciągnęła z niego najmniejszy, nierozwinięty pączek, który zapewne zerwała przypadkiem. Gdy włożyła mu go do kieszeni, drobna roślinka wpadła do środka, pozostając niewidoczną dla starszyny. Kail w porę ugryzł się w język, by nie powiedzieć jej, że nie chce nagrody pocieszenia. Dziewczyna miała dobre chęci, a jego urażona duma nie była jej winą.

W całkowitym milczeniu czekali jeszcze około dwudziestu minut, aż ojciec bliźniaków dał im znać, by się kierowali dalej. Starszy żołnierz otworzył klapę w podłodze, a wszyscy zgromadzeni zaczęli schodzić gęsiego po brudnych, kamiennych schodkach. Znaleźli się w dużej, ale pełnej ludzi piwnicy, którą ledwie oświetlała jedna działająca żarówka i porozstawiane na parapetach lampki naftowe. Okna były zasłonięte czarną tkaniną nieprzepuszczającą promieni słonecznych. W pomieszczeniu panował zaduch, ale nikt nie śmiał na niego narzekać. Osoby niebędące tego dnia pasowane na żołnierzy, stawały na tyłach lub po boku sali, a wyróżnieni kierowali się wprost do postawionego na przodzie drewnianego podestu.

Kail poklepał kolejno Maksa i Simona, a następnie stanął na jednej z postawionych pod oknem skrzynek, skąd miał dobry widok na „scenę”. Znakiem rozpoczynającym uroczystość było zamknięcie klapy przez pilnującego hangar mężczyznę. Stojący na podeście szef Oddziału Operacyjno-Szkoleniowego, pułkownik Adam Santer „Sowa”, przyłożył dłoń do serca, a wszyscy w ślad za nim zrobili to samo. Wzrok Kaila spoczął na wiszącym na ścianie godle narodowym. Czerwony ptak z rozpostartymi skrzydłami wyglądał jak bóstwo. Gdy „Sowa” uniósł dłoń do góry, stojący na scenie Kasseryjczycy bez zająknięcia zaczęli recytować treść przysięgi, jakby była zaklęciem pozwalającym na zdobycie jakiejś nadludzkiej mocy. Kail pomyślał, że jeszcze nigdy nie czuł się tak nieistotny. Patrzył na Maksa i Simona, którzy właśnie stawali się ważniejsi. Próbował zdusić rosnące w sobie poczucie niesprawiedliwości, ale było mu trudno. Nie wierzył, że tak wielką różnicę zrobiło tu kilka miesięcy. Coś było z nim nie tak, ale sam nie potrafił dojść do tego, co.

* * *

W życiu nie zawsze robi się to, na co akurat ma się ochotę, i nie tylko los Kaila Karova był tego świetnym przykładem. Olbrzymi parowóz zajeżdżał na stację w Rubie około czwartej po południu.

Wśród pasażerów był pan Charles Vogel, któremu podróż nie upłynęła zbyt przyjemnie. Gdy tylko wracał myślami do pewnej sytuacji, rosła w nim złość. Doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że jego kompetencje były zdecydowanie zbyt wysokie na tak żalosne stanowisko, nawet jeżeli miał je sprawować jedynie przez kilka miesięcy. Nagła choroba pana Brauna postawiła dockie dowództwo przed koniecznością znalezienia kogoś na miejsce sekretarza generalnego w małej miejscowości o nazwie Mont. Przyjazd do Kasserii nie był tym, o czym marzył Vogel. Tym bardziej, że nie miał urzędować w stolicy kraju, Rubie, ale w jakiejś dziurze na południu, obraźliwie nazywaną przez wszystkich blaszakarnią.

Charles wyszedł na spowitą gęstymi oparami dymu stację. W prawej ręce trzymał smycz. Olbrzymi, czarny wilczur stał dumnie przy nodze swojego właściciela. Bystrymi oczami lustrował bacznie całe otoczenie. Zabytkowy dworzec w Rubie był wielką dumą Kasseryjczyków. W wielkim, jasnym gmachu znajdowało się wiele sklepów, restauracji i kiosków. Dach podtrzymywały ozdobne filary, których podstawy tworzyły rzeźby przedstawiające coś w rodzaju bukietu z piór. W powietrzu się unosił zapach obwarzanków sprzedawanych na drewnianych wozach przez kobiety w długich, wzorzystych spódnicach. O tej porze na peronie panował niemały chaos. Na stację przyjechał właśnie pociąg z Docji, którego pasażerami byli żołnierze oraz ich rodziny.

– Ach, tu pan jest! – Wśród zgietku zgromadzonych na stacji osób dało się słyszeć zachrypnięty, męski głos.

Łysiejący mężczyzna około czterdziestki i towarzyszący mu niski blondyn ruszyli w stronę Charlesa. Obaj mieli na sobie dockie mundury, a w normalnych okolicznościach budzili postrach wśród kasseryjskich cywili. O dziwo tego dnia to jednak oni wyglądali na spanikowanych. Przybycie gościa z odległego Wolfenbergu było dla nich niezwykle ważnym i równie stresującym wydarzeniem. Chociaż pociąg zjechał na stację punktualnie, oczekiwano go już od godziny. W końcu spóźnienie mogłoby zostać źle odebrane.

– Cedrik, Mark... – wymówił ich imiona Vogel.

Na sekundę przybliżył dłoń do czarnej, wojskowej czapki. Nie trudził się jednak, aby ją zdjąć. Niebieskie, przypominające wilcze oczy dokładnie się przyglądały dwójce żołnierzy. Mówiono, że Vogel zawsze patrzył na innych z góry. Chociaż nikt nie był świadkiem jego napadów agresji, krążyły pewne plotki i legendy. Cedrik i Mark nie chcieli się przekonać, ile było w nich prawdy. Jedno pozostawało pewne: pan Vogel zamrażał chłodnym głosem i samym spojrzeniem.

– To pański tropiciel? – odezwał się Mark, wskazując na psa. – Nie trzeba było go brać. W Moncie będzie mógł mieć pan tyle psów, ile tylko...

– Nie chcę żadnych innych psów – rzekł stanowczo, sięgając do kieszeni munduru.

Wyciągnął z niej starą, posrebrzaną papierośnicę. Nie poczęstował żadnego z nich. Cedrik dyskretnie szturchnął Marka łokciem. Tym gestem uświadomił mu, że popełnił już pierwszą wpadkę.

– W każdym razie, samochód na pana czeka. W ciągu pierwszych dwóch dni umieścimy pana w gnieździe. To ekskluzywna dzielnica, która...

– Wiem, co to jest.

– Ach, tak. No, tak, tak. – Cedrik jedynie kiwał głową, przytakuując mężczyźnie. – Po dwóch dniach zostanie pan przeniesiony do Montu. Oczywiście tam również będzie czekał prywatny gabinet, dobre warunki i...

– Kpisz sobie ze mnie? – mruknął, wypuszczając dym z ust. – Wszawica, grzybica, smród i cholera wie, co jeszcze. Czy naprawdę oczekujesz, że będę się cieszył z... Albo inaczej: czy poznałeś kiedykolwiek kogoś, kto byłby usatysfakcjonowany robotą w blaszakarni?

Cedrik zamilkł i nie odezwał się, dopóki nie wyszli z dworca. Po nowo przybyłym nie było widać cienia zainteresowania miejscem, do którego przyjechał. Nie interesowały go sklepy ani restauracje. Szedł szybko, w milczeniu dopalając swojego papierosa.

Charles nie lubił ludzi prymitywnych, a takie wrażenie zrobili na nim Cedrik oraz Mark. W swoim życiu wielokrotnie miał do czynienia z bezmyślnym lizusostwem i nie miał wątpliwości, że trafił na typ ludzi, których towarzystwo nie sprawi mu żadnej przyjemności. Wzbudzenie powszechnego podziwu i strachu zarazem miało swoje plusy. Gdy doszli na parking, a Mark otworzył Charlesowi drzwi do samochodu, ani on, ani Cedrik nie protestowali, kiedy olbrzymi wilczur usiadł na tylnym siedzeniu. Pan Vogel zajął miejsce z przodu. Dopiero gdy ruszyli, zdjął czapkę i skórzane rękawice. Zaczesał do tyłu kosmyki jasnych włosów, po czym wlepił wzrok w szybę. Po drodze uraczono go piekielnie nudną, propagandową historią miasta, opowiedzianą z dockiego punktu widzenia. Mark wskazywał konkretne budynki, opowiadał o przeprowadzonych innowacjach oraz wymieniał daty. Oj tak, sypał nimi jak z rękawa. Data napaści na Kasserię, data podbicia Ruby, kolejne daty powstawania następnych wielkich, i bardzo nowoczesnych!, fabryk.

– No i gdzie są te wasze fabryki, Mark? – odezwał się po długiej chwili milczenia.

– Jedziemy inną drogą, wybrałem ładniejszą, od strony gniazd.

– To ich budownictwo? – zapytał Vogel, wskazując jeden z dużych, białych pałacików.

– Tak, ale jak się udało ustalić naszym ekspertom, jakieś trzysta lat temu do konstrukcji tego obiektu zatrudniono wybitnego dockiego architekta. Tego samego, który jest autore...

– Skończ już. Od tej paplaniny nabawię się zaraz cholernej migreny. Pamiętaj, że byłem na froncie i wciskanie mi cukierkowej wersji świata jest bardzo złym pomysłem.

Mark przełknął ślinę, a Cedrik parsknął śmiechem. Vogel ponownie zwrócił twarz w kierunku okna. Wywrócił oczami. Największym paradoksem pozostawał fakt, że był z nich najmłodszy. Nie wiadomo, czy to przez sto dziewięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, czy też bardzo męskie rysy twarzy, ale nikt nigdy nie

dał mu tych dwudziestu siedmiu lat. Wrócił z frontu jako bohater. Ukończył szkołę wojskową z najlepszymi wynikami. Pochodził z dobrej rodziny. Kto śmiał pytać o takie rzeczy? W końcu się zatrzymali przed olbrzymią, przerobioną na hotel willą. Wielką bramę otworzyli im strażnicy w eleganckich, granatowych frakach. Minęli różany ogród i sporą fontannę, po czym stanęli przed szerokimi, marmurowymi schodami.

– Czerwy wezmą bagaże – oznajmił Mark, wychodząc z samochodu.

– Czerwy? – Zmarszczył brwi Charles.

– Tak nazywamy lokalnych. Są jak larwy.

Vogel zagwizdał dwukrotnie, na co potężny pies zgrabnie zeskoczył z siedzenia i posłusznie stanął tuż przy jego nodze. Dwóch młodzików z obsługi hotelowej głośno przełknęło ślinę, gdy musiało przejść obok zwierzęcia. Uklonili się przed trójką dockich żołnierzy, a następnie wzięli dwie skórzane walizki, by wnieść je tylnym wejściem.

– Proszę się odświeżyć i zrelaksować. Po kolacji zaplanowałem wyjście do miasta. Jeżeli chodzi o pański pokój, zapewniam, że jest najlepszy – przekonywał Cedrik, gdy chłopiec hotelowy otworzył przed nimi przeszkłone, białe drzwi.